



FOT. SERGIEJ PROKUDIN-GORSKI / LIBRARY OF CONGRESS, LC-PPZ-216

# UCIECZKA Z SOWIETÓW

---

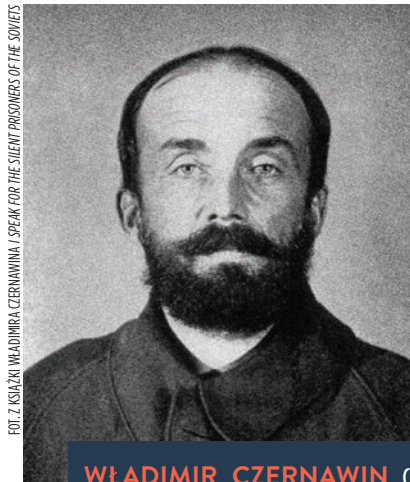
UWIĘZIONY W ŁAGRZE WŁADIMIR CZERNAWIN  
OPRACOWUJE SZCZEGÓŁOWY PLAN,  
JAK WRAZ Z ŻONĄ I SYNEM  
UCIEC ZE ZWIĄZKU SOWIECKIEGO.

---

Władimir Czernawin, Tatiana Czernawina

← Rzeka Wyg w Karelii, 1915

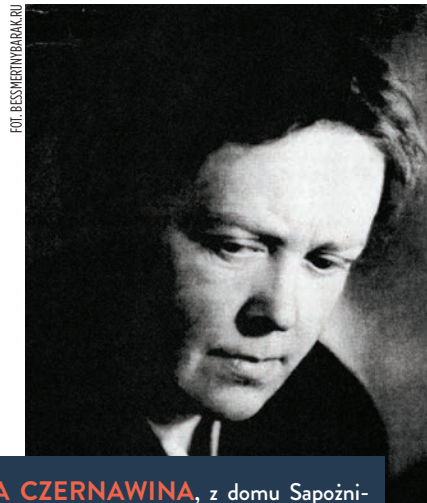




FOT. Z KSIĄŻKI WŁADIMIERA CZERNAWINA I SPEAK FOR THE SILENT PRISONERS OF THE SOVIETS

**WŁADIMIR CZERNAWIN (1887–1949)**

– rosyjski naukowiec, biolog, ichtolog; aresztowany w 1930 roku za „nadużycia przy produkcji konserw rybnych” i skazany jako „szkodnik” na pięć lat kolonii karnej w Sołowkach nad Morzem Białym; został przeniesiony do łagru w Kiemie, skąd latem 1932 wraz z żoną i synem uciekł do Finlandii; mieszkał tam do 1933 roku, by w końcu osiąść w Wielkiej Brytanii. Ofiarom totalitarnego systemu poświęcił książkę opisującą stalinowski aparat represji *I Speak for the Silent Prisoners of the Soviets*.



FOT. BESSMERNYBARAK.RU

**TATIANA CZERNAWINA**, z domu Sapożnikowa (1890–1971) – krytyczka sztuki; pracowała jako starsza pracownica naukowa w Ermitażu; aresztowana, by wyrzucić presję na jej przesłuchiwanym mężu – Władimirze; w tym czasie straciła pracę w muzeum; autorka wspomnieniowej książki *Escape from the Soviets*, w której opisała losy swojej rodziny od 1930 roku do ucieczki ze Związku Sowieckiego.

**Władimir Czernawin**

Zapoznając się z pracą Rybpromu na podstawie dokumentów, postawiłem sobie za cel znalezienie takiego tematu badań, który na tyle zainteresowałby szefostwo przedsiębiorstwa, by zdecydowało się na wysłanie mnie w długą delegację w najbardziej głuche miejsca w północnej strefie obozów, gdzie rozrzuconych jest wiele drobnych łagpunktów Rybpromu i gdzie nadzór nie mógł być liczny.

[...] Dla mnie ogromne znaczenie miał fakt, iż szef Rybpromu\* nie był czekistą, tylko pomorskim rybakim. Nie miałem wątpliwości, że pomimo mojego poniżającego statusu więźnia, nie będzie mógł zignorować mojej wiedzy i autorytetu, że w głębi ducha będzie zawstydzony własną nieporadnością w branży rybackiej, której jako

w celu sporządzenia ich szczegółowego opisu i charakterystyki pod kątem dalszego rozwoju. Ponadto zawnioskowałem, aby przy okazji rozpracować możliwości zorganizowania nowych metod połowu, utylizacji niewykorzystywanych dotąd odpadów, jak również ryb niebędących celem połowów. Miało to na celu skuszenie ich wizją nowego, szerokiego rozwoju branży.

rybak musiał być świadom. Wykorzystując to, łatwiej przyjdzie mi zmusić go do zrobienia tego, na czym mi zależy i co w konsekwencji przysłuży się organizacji ucieczki. Sprzyjało mi również to, iż rybpromowskie naczalstwo nie mieszało się do pracy w terenie, gdzie można było zorganizować coś, co w ostatecznym rozrachunku mogło odegrać decydującą rolę w mojej ucieczce.

Zaproponowałem kierownictwu Rybpromu, aby do zimy posłało mnie w objazd wszystkich łowisk i wszystkich delegatur przedsiębiorstwa



KADR Z FILMU PROPAGANDOWEGO SZOLOWKI, REŻ. A. CZERKASOW, 1927–1928 / KOLEKTAJA TOMASZA KIZIEGO

↑ Więźniowie w drodze ze stacji Kolei Murmańskiej do obozu tranzytowego SŁON w Kiemiu

Proponowałem, aby wizytacji punktów i łowisk dokonać za pomocą łodzi wiosłowej o zanurzeniu na tyle małym, aby można nią było podejść do brzegu w dowolnym miejscu. Było to niezbędne ze względu na charakter prac, ale dawało mi jednocześnie możliwość zbadania odpowiednich miejsc do ucieczki. [...]

Wreszcie, północ kusiła mnie niewielką odległością do granicy: 100 kilometrów w linii prostej nawet w niesprzyjających warunkach w rzeczywistości nie powinno oznaczać więcej niż 150 kilometrów drogi, co da się przejść w cztery, pięć dni. Straszna wydawała się dalsza podróż po Finlandii, ponieważ tereny w pobliżu granicy są zupełnie niezaludnione. Łatwo można umrzeć z głodu już za granicą, zanim znajdzie się jakieś ludzkie siedziby. Obszar południowy był pod tym względem bardziej korzystny, ponieważ osady

fińskie znajdowały się tam tuż przy granicy. Nadal jednak uważałem, że lepiej radzić sobie z głodem, jedząc grzyby i jagody, lepiej znosić trudy w fińskich lasach, niż ryzykować, że wpadnie się w ręce sowieckich strażników. Ale im bardziej miałem się szycować do ucieczki z północy, tym staranniej musiałem ukrywać, że się nią interesuję. Poza tym nawet czekał się nigdy, do ostatniej chwili, nie ujawniają swoich decyzji. Moja rozpiska została poważnie przejrzana i życzliwie zaopiniowana. Należało szycować się do drogi, aby zdążyć wykorzystać choć koniec lata. Ale ani rejon badań, ani data wyjazdu wciąż nie były określone. Najwidoczniej szefostwo się wahało.

Ja również się nie spieszyłem. Główny punkt całego mojego planu wciąż pozostawał niejasny. Aby uciekać, musiałem znać los mojej żony, która wciąż przebywała w więzieniu. Aresztowano ją

\* S. I. Simankow, szef Rybpromu. W GPU od 1929 roku, wcześniej w partii. Zanim rozpoczął karierę w aparacie represji, był rybakim z oddalonej o 30 km od Kiemu niewielkiej wioski Szuereckoje.



w celu wywarcia na mnie presji i co za tym idzie, nie miała żadnej „sprawy”, ponadto mój wyrok skazujący był datowany na 13 kwietnia, a mieliśmy już czerwiec; jej wciąż nie zsyłano ani nie zwalniano. Skłaniałem się ku myśli, iż śledczy tylko prowokował mnie jej aresztowaniem, podczas gdy „szyl” coś zupełnie innego. Przybywający z Petersburga nowymi etapami przywozili dalece niepokojące wieści: wielu fachowców z Ermitażu, Muzeum Rosyjskiego, Muzeum Etnograficznego i innych zostało zesłanych. Żona pracowała w Ermitażu i mogła ją „dopiąć” do nich. Straciłem wszelką nadzieję na jej uwolnienie i postanowiłem czekać tylko na to, by dowiedzieć się, gdzie zostanie zesłana, nawiązać z nią łączność, a następnie uciec za granicę, by stamtąd organizować jej ucieczkę, ratując jednocześnie synka z Petersburga. Zdawałem sobie sprawę, z jak niewiarygodnymi trudnościami musiało się to wiązać, ale wiedziałem też, że jest to mój jedyny cel w życiu.

Jak się później okazało, żonę faktycznie aresztowano wyłącznie w celu wywarcia nacisku na mnie, a po pokazaniu mnie już jej nie wzywano i nie przesłuchiowano, po prostu o niej zapominając, przez co przesiedziała prawie całe cztery miesiące, od 13 kwietnia do 10 sierpnia. W owym czasie nie mogła wiedzieć, że zostałem zesłany, a ja nie mogłem się dowiedzieć niczego o niej. A moje szefostwo wciąż zwlekało z decyzją o wyjeździe. Minął chłodny i deszczowy czerwiec, zaczął się jasny i ciepły lipiec, potem sierpień i na pracę pozostał najwyżej miesiąc, ponieważ na północy na początku września zwykle zaczynają się mrozy i spada śnieg, który w górach poleży już do przyszłego lata. A ja nadal codziennie wlokłem się z koszar [w obozie] do Rybpromu, głodny, tracący siły i niezdolny, by cokolwiek zdziałać. W kwestii mojego wyjazdu koledzy z Rybpromu byli nastawieni pesymistycznie. [...]

Aby utwierdzić wydział informacyjno-śledczy w przekonaniu, że ucieczka nawet mi nie w głowie, rozповідаłem wszystkim, że w Petersburgu zostawiłem syna w wieku dwunastu lat, że żona siedzi na Szpalernej. Listy dostawałem wyłącznie od syna i przechodziły przez wydział, który zdawał sobie sprawę, że w przypadku ucieczki zostawię im swoich bliskich w roli zakładników.

Teraz należało coś wymyślić, aby posłano mnie do Podużemia. Codziennie dostarczano stamtąd samochodem łososia do Kiemu, tutaj go sortowano i solono lub zasypywano lodem. Wszystko szło na łapówki do GPU albo przez Gostorg\* na eksport do Anglii. W 1931 roku jedynym producentem eksportowego łososia w Karelii był Rybprom i działalność ta była jedną z dochodowych, ale mistrzowie przygotowujący łososia skarżyli się na wysoki odsetek wybrakowanej ryby, przywożonej z Podużemia. Przez kilka dni przeglądałem nadchodzące stamtąd partie i ustaliłem, co jest powodem brakorobstwa. Nie było wątpliwości, że przyczyną tego stanu rzeczy był niewłaściwy ubój ryb i niedbałe obchodzenie się z nimi, zanim dotarły do punktu odbiorczego Rybpromu. Sporządziłem notatkę na ten temat i zaproponowałem nowy sposób uboju łososia, wykluczający możliwość powstania odrzutów.

Simankow, jako były rybak, zainteresował się moją propozycją, z powodu swej zachowawczości miał jakieś wątpliwości, ale kusilo go to.

– Wyślijcie mnie do Podużemia – zaproponowałem. – Przeprowadzę ubój łososia przy rybakach i przy okazji nauczę każdego, jak się to robi. Wasi solarze zdadzą relację o rybie bitej tym sposobem i zaręczam, że u mnie nie będzie żadnych odrzutów.

Dał się skusić i po dwóch dniach moja delegacja była załatwiona. Wydział informacyjno-śledczy mnie puścił. Jeszcze jeden mały krok do przodu. Najważniejsze, żeby się nie spieszyć – pomyślałem. Nie bać się złożoności planu, nie zapominać o niczym, twardo dążyć do celu i myśleć o jednym. [...]

10 sierpnia, w cudowny letni wieczór, siedziałem wraz z kierowcą w szoferce ciężarowego forda i jechaliśmy z Kiemu na zachód. Przemknęła uboga miejska zabudowa, po prawej zostawiliśmy stację kolejową. Linia kolejowa, odcinająca pas wybrzeża, przez cały okres mojego uwięzienia wydawała mi się magiczną barierą, trzymającą mnie w niewoli. Podczas ucieczki musiałbym ją przekroczyć. Na wschód od nitki kolei pozostawały zamieszkane miejsca wybrzeża, miasta, wioski, podobozy sołowieckiego łagru z ich drutami kolczastymi, izolatorami, ochroną. Na zachodzie



FOT. PRANDOP, R. ERLICH / KOLEKTA, TOMASZA KINIEGO

↑ Sołowki, 1927. Solenie i beczkowanie dorsza

rozciągały się dzikie ostępy leśne, moczary, jeziora z rzadkimi osadami i rozproszonymi miejscami, gdzie prowadzono prace zrębowe. To tędy miałem uciekać, tutaj niczym dziki zwierzę kryć się przed tropiącymi myśliwymi. Dobre miejsca, rozległe – niech i całą obławą chodzą.

Żywo wyobrażałem sobie, jak docieram do nasypu kolejowego, wybieram najlepsze miejsce, wspina się na niego i znów daję nurka do lasu. [...]

Musiałem zebrać informacje o ucieczkach. Trzeba to było robić bardzo ostrożnie, ale nabrałem już wprawy w pobudzaniu moich rozmówców do dyskusji na pożądane przeze mnie tematy, do prowokowania kłótni i zwierzeń, podczas gdy sam udawałem, że jestem zajęty czymś innym. Wyjątkowo dobrze udawało się to z ochroną, która lubiła się pochwalić swą niezwykłą zręcznością w wyłapywaniu uciekinierów. Dużo kłamali, ale udzielali też cennych informacji o sposobie organizacji ochrony i pościgu. Spotykało się też wśród nich ludzi szczerych, którzy ujawniali słabe miejsca

ochrony. Szczegółowe relacje z przebiegu wielu ucieczek znałem zarówno z ust prześladowców, jak i więźniów, którzy byli mimowolnymi świadkami takich prób. W ten sposób obraz ucieczki stawał się dla mnie jaśniejszy i bardziej pouczający. Ze szczególną uwagą przysłuchiwałem się opowieściom o nieudanych próbach, starając się zrozumieć, z czego wynikały fatalne błędy uciekinierów. [...]

Wszystko, czego w Podużemiu dowiedziałem się o ucieczkach, nie wróżyło niczego dobrego. Dochodziło tu do licznych prób, co wynikało z bliskości takich ogromnych łagrów jak Wyspa Popów i Wiczeraksza [kompleks łagrów na Wielkiej Wyspie Sołowieckiej], gdzie przetrzymywano dziesiątki tysięcy więźniów, ale przytłaczająca liczba ucieczek kończyła się niepowodzeniem. Kusząca była wizja pomaszzerowania drogą w celu szybszego przemieszczenia się, ale ponieważ cały trakt był obstawiony, a wszystkie punkty i wsie połączone z Kiemem za pomocą telegrafu i telefonu, to przejście nim bez wpadki byłoby istnym

\* Utworzona w 1922 roku państwowa centrala handlowa.





FOT. SIERGIEJ PROKUDIN-GORSKI / LIBRARY OF CONGRESS, LC-PRF-2105

↑ Archipelag Wysp Sotowieckich, 1915

cudem. Wystarczy rozstawić na drodze parę czujek i uciekinier zostanie złapany. Jeśli pójdzie lasem równoległe do traktu, ochrona z łatwością go wyprzedzi i zagrozi mu drogę w dobrze znanych i trudnych do przebycia miejscach, na bagnach, jeziorach, rzekach. Poza tym, jeśli pójdzie przez las, to 300 kilometrów zamieni się w 450, czego nie da się przejść nawet w ciągu dwóch tygodni, nie mówiąc o zapasie żywności na taki okres i jej udźwignięciu. Głód wypędzi go do wioski, gdzie w większości przypadków spotka go śmierć.

Największym zagrożeniem są karelscy chłopci. Polują na uciekinierów z zacięciem sportowca.

Mówi się, że w Poduzemiu i wszystkich wszach wzdłuż traktu nie ma jednego gospodarza, który nie dostałby premii za schwytanie zbiega, a niektórzy otrzymywali ją po kilka razy. Głowę uciekiniera wycenia się na worek mąki i za nią karelscy chłopci wydają ludzi na śmierć. Słyszałem, że w centralnej Rosji to się nie zdarza i tym, którzy uciekli na przykład z syzrańskiego łagru\*, chłopci pomagają, ukrywają ich, dzielą się ostatnim kęsem chleba.

\* Obóz w rejonie kujbyszewskim, położony ok. 300 km od Nowosybirka.

Tutaj zaś, gdy tylko się okaże, że więzień uciekł, rozpuszcza się wieści po całej okolicy i wszyscy ruszają na polowanie. Prześladowcy są syci, obuci, uzbrojeni, doskonale znają teren, a ścigany – głodny, osłabiony więzieniem i katorgą, w byle jakich butach błąka się po omacku w nieznanym mu lesie. Nawet wtedy niełatwo go tam znaleźć, ale opadłszy z sił, i tak wyjdzie, by prosić o jedzenie. Po głowie będzie mu się tłukła myśl: „Czy to możliwe, żeby miejscowi wydali mnie na śmierć w męczarniach?”. Ci przyjmują go ciepło, litują się, sadzają do stołu, karmią, poją, szykują prowiant na drogę, próbują zatrzymać na dłużej, a podczas gdy gospodyni go częstuje, jej dzieciak biegnie po strażnika. I wtedy jest to ostatni posiłek uciekiniera. [...]

Dość już napsulem sobie krwi na wolności, ze wszystkich sił starając się usprawnić produkcję, ale tutaj miałem inny cel. Istotne było, aby pojechać w podróż służbową i sprawić, by wydział informacyjno-śledczy zaczął obdarzać mnie zaufaniem. Nie pojechałem na próżno, dokładnie wypełniłem powierzone mi zadanie, moja metoda sprawdziła się idealnie i wiozłem ze sobą do Kiemu ze dwa tuziny ryb nienaganej jakości, bitych moim sposobem. „Dopasowywać” moją metodę do rybackiej „praktyki” mogą sobie sami.

Późnym wieczorem odstawiono mnie samochodem z powrotem na miejsce. Byłem podniekowany, zmęczony i po odbyciu wszystkich formalności związanych z powrotem do obozu, pospiesznie wdrapałem się na swoje 50 centymetrów pryczy i zasnąłem. Po minucie mnie obudzili. Przy pryczach stał zastępca kompanijnego starosty z jakąś książką w ręku. Cóż to oznacza? Wysyłają mnie dokądś? Do karceru? Sąsiedzi przypatrywali mi się z niepokojem.

– Potwierdźcie otrzymanie telegramu.

Z trudem opanowując zdenerwowanie, wpisałem nazwisko i odebrałem pasek telegramu. Mój Boże, coż mogło się wydarzyć? „Wróciłam bezpiecznie do domu”. I podpis żony. I w Związku Sowieckim bywają radosne chwile...

W pierwszej chwili poczułem tylko radość i ogromną ulgę. Wyszła z więzienia – marzenie każdego więźnia – zobaczyła syna. Biedaczyna już nie jest sam. Jakże musiał się cieszyć! Telegram został wysłany 10 sierpnia, w dniu, w którym po raz pierwszy wyjechałem z obozu – dobry omen.

Wszystkie moje plany ucieczki ulegały teraz zmianie i stawały się prostsze. Żona była na

wolności, razem z synem. Należało się z nimi zobaczyć, ale według obozowych reguł, przy najbardziej sprzyjających okolicznościach na widzenie mogli zezwolić nie wcześniej niż po pół roku od przybycia więźnia do łagru. Przywieziono mnie 2 maja, więc będziemy mogli się zobaczyć nie wcześniej niż 2 listopada. Listopad to już zima. Ucieczka zimą jest trudna, prawie niemożliwa. To oznacza, że ucieczkę trzeba odłożyć do 1932 roku. Ale możemy uciec razem.

Co powinienem zrobić w tym czasie? Zaznaczyć się z rejonem na północy, rozczłonić drogi prowadzące do granicy, lokalizację posterunków straży granicznej, organizację ochrony na obszarach północnych. Na podstawie tych danych wybrać punkt startowy i przybliżoną marszrutę ucieczki. Na czas wyjazdu na północ powinienem wykonypować taki temat prac, który stwarzałby możliwość udania się tam również w przyszłym roku, przy czym w takie miejsce, które uznaję za najbardziej dogodny do ucieczki. Ponadto muszę sobie zaskarbić pełne zaufanie kierownictwa Rybpromu i miejscowej ochrony. Sam zaś muszę okrzepnąć, podszkolić się w chodzeniu i wiosłowaniu. Do listopada powinienem zakończyć zaplanowaną podróż i wrócić do Kiemu na widzenie z żoną. Wtedy porozmawiamy o ucieczce.

Nie spałem całą noc. Myśl o ucieczce tłukła mi się po głowie. Wokoło nieładna ciasnota, smród, brud, duchota, pluskwy, a ja niczego nie zauważałem. Generalnie od tej chwili zacząłem intensywnie żyć wyłącznie tą myślą, tylko tym planem i cała katorga przepływała obok mnie niczym we śnie. Nie interesowało mnie, jak przetrwam ten przeklęty czas. Tak dużo muszę zdążyć zrobić.

Następnego dnia napisałem sprawozdanie z moich doświadczeń w Poduzemiu. Solarze „Rybpromu” wystawili dobrą ocenę przygotowanym przeze mnie łosiosom. Ze strony szefostwa nie było ani aprobaty, ani nagany. Moi koledzy wyjaśnili mi, że to dobry znak i że naczałstwo jest niewątpliwie ukontentowane. [...]

Tym oto sposobem czekistowski Rybprom postanowił oddelegować mnie na „wyprawę naukową” w celu zbadania swych łowisk. Najpierw jednak musiałem przez dwa dni uganiać się po wszystkich obozowych kancelariach, aby dopełnić niezliczonych formalności i zebrać całą stertę dokumentów i zaświadczeń, z którymi i później



będzie jeszcze masa szarpaniny. Pierwszy z nich to wojskowy bilet na pociąg, otrzymany za sprawą GPU. Drugi – zezwolenie na noszenie „wolnej odzieży”: w przypadku wyjazdów służbowych poza obóz więźniów wypuszcza się w ich własnych ubraniach, aby nie zwracali uwagi otoczenia. Trzeci – zezwolenie na wyjazd służbowy, wypisane nadzwyczaj lakonicznie: „Ichtolog, skazaniec Czernawin, jest delegowany do Regionu Północnego w celu prowadzenia badań przez okres dziesięciu dni”. Czwarty – szczegółowa instrukcja prowadzenia prac, którą napisałem sam, ale na papierze firmowym Rybpromu, podpisana przez szefa przedsiębiorstwa Simankowa, z której wynikało, że powinienem żeglować łódką przez dwa miesiące. Rozbieżność pomiędzy dwoma ostatnimi dokumentami była oczywista, ale zgodnie z przepisami administracji obozowej nie wydaje się zezwoleń na okres dłuższy niż dziesięć dni, natomiast przedłuża się je na miejscu, po telegraficznym kontakcie z Kiemem. Ponadto w dowolnym łagpunkcie dowódca ochrony mógł mnie zatrzymać i odesłać z powrotem pod strażą, jeśli wydam mu się podejrzany lub po prostu mu się nie spodobać. I wreszcie – naczelnik Regionu Północnego, rezydujący w Kandalakszy, mógł mnie nie puścić nigdzie dalej i dlatego miałem też ze sobą osobisty list Simankowa, w którym ten najwyraźniej wyjaśniał mi po swojemu, że należy mnie jednak wypuścić na rejs łódką.

Instrumentarium, które wiozłem ze sobą do pracy, nie było zbyt imponujące: malutki cyrkiel drążkowy, sowiecki produkt takiej jakości, że mierzenie nim było niemożliwe, dwie żelazne skrzynki do zbierania ryb i kilogram formaliny. Ponadto sam po znajomości zorganizowałem linijkę z podziałką i kilka próbek. Musiałem mieć jakiegokolwiek „instrumenty”, aby móc je zademonstrować ochronie i przekonać ją o powadze i naukowym charakterze mojej pracy. Jako narzędzie do połowów i źródło wyżywienia wydano mi mały niewód [rodzaj sieci rybackiej].

Na pociąg do Kandalakszy zdążyłem w ostatniej chwili. Wagon był przepełniony. Większość pasażerów stanowili chłopcy, głównie Ukraińcy i Kubańcy\*. Podróżowali z żonami,

dziećmi, ze swoim nędznym ekwipunkiem w kufkach domowej roboty i workach po ziemniakach. Ubrani w odzież z samodziału, znoszoną, połataną, po prostu porwaną, obuci głównie w łapcie. Miejskowi Pomorowie z ciekawością przyglądali się temu obuwiu. Do tej pory widzieli je tylko u więźniów. Dzieciaki rozczochrańce, brudne, chude, blade, niemalże nagie. Jakkolwiek dziwne by to było, cała ta chłopska masa, wypełniająca pociągi i zalegająca całymi dniami na brudnych stacjach, jechała z Kubania i Ukrainy do Karelii za chlebem. Bliskość sytej Finlandii i trudności z ochroną granic zmusiły władze sowieckie do przydzielania w Karelii stosunkowo wysokich racji chleba, aby tłumy Karelów nie uciekały do Finlandii. Również kolektywizację i rozkułaczanie prowadzi się tutaj dużo ostrożniej. Słuchy o tych „chlebowych” miejscach rozchodziły się szybko po ZSRS i chłopstwo, utraciwszy wszystko w swych ongiś naprawdę bogatych rejonach, wlecze się do krainy karłowatych lasów, kamienia i tundry z nadzieją, iż wykarmi się na państwowych przydziałach.

Jedzie także wielu zwerbowanych. Przy niedoborze rąk do pracy na „wielkich budowach”, jak chibinogorskie apatyty [minerały], kombinat chemiczny w Kandalakszy czy elektrownia w Kniażej Gubie, przedsiębiorstwa rozsyłają rekruterów, którzy obiecują kilogram chleba dziennie i wysokie buty. Głodni i bosi chłopcy zgadzają się jechać dokądkolwiek. Jednak na północy, trafiwszy na mrozy, w polarną noc, do wyziębionych, zapluskwionych i zawszonych baraków, w większości przypadków nie dostając nawet butów, po które jechali – zaczynają odpełzać z powrotem. Rekruterzy przezornie odbierają im dokumenty, pieniędzy na drogę nie ma i chłopcy zamieniają się we włóczędów, często dosłownie bosych, tułających się od stacji do stacji w poszukiwaniu jedzenia. W oficjalnym sowieckim języku nazywa się to „płynnością siły roboczej”. Trzeba zobaczyć skrajne ubóstwo owych „niewolniczych kadr”, aby pojąć, co powoduje ich „płynność”.

W wagonie nawet mi, katorżnikowi, trudno było znieść ciasnotę, brud, płacz głodnych dzieci.



↑ Linia Kolei Murmańskiej, 1915

Wyszedłem na platformę wagonu, zagadnąłem chudego, kudłatego, odzianego w lachmany chłopca. Nieustannie kaszlał, miał zapadnięte oczy i czarną, ziemistą cerę. Nie ulega wątpliwości, że chorował na gruźlicę i jego koniec był bliski. Jechał do jakiejś nowej pracy. W starej utrzymał się przez trzy miesiące, oszukali go przy wypłacie i ze zgryzoty pojechał szukać nowego zajęcia. Tam też pochował żonę i teraz ciągnął za sobą piątkę dzieci – wszystkie chore, brudne, głodne.

– Dla GPU pracowałem, dom im na granicy budowałem i tam mnie oszukali – opowiadał o swych perypetiach.

– A gdzieście go budowali? – pytam obojętnym tonem, aby ukryć swe zainteresowanie.

– Znaczy się, od stacji X będzie 50 wiorst na zachód.

– Duży dom żeście budowali?

– Na pięćdziesięciu ludu straży.

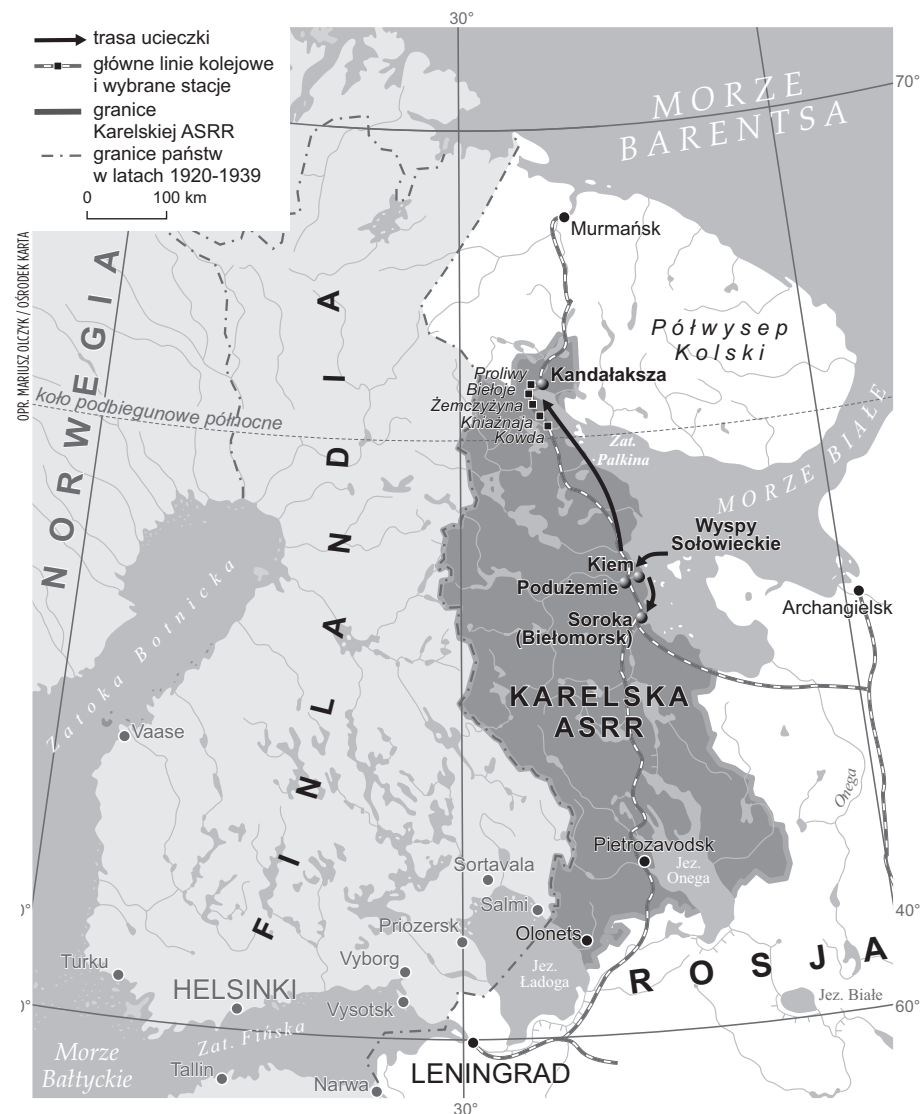
– Pewnie dobrze karmili, co?

– Sami sytnie żyją, a nas gorzej od swoich psów karmili.

– Dużo tych psów trzymali?

– Trzy. I dasz wiarę, dobry człowieku: wszystko tam mają. Kaszę codziennie gotują, do niej krowie masło, kapuśniak z mięsem, a chleba,

\* Kubań – historyczno-geograficzna kraina na północnym Kaukazie.



że nie przejesz. I robota jaka? Obchód 15 kilometrów. Po dwóch chodzą. Wróć – dwaj następni idą. A inni tylko leżą, radia słuchają.

Potem roześmiał się złośliwie.

– A do lasu nie łążą, boją się.

– Czego się boją?

– Ano ludzi, dobry człowieku. Z karabinami we dwóch idą, a boją się. Mówią, że usłownocy\* tam bywają. No i się ich boją; zacai się taki w głuszy i stuknie.

– A psy ze sobą biorą na obchód?

– Nie, nie widziałem, żeby brali. Może jakie nienauzone mieli.

I tak, całkiem przypadkowo, poznałem lokalizację nowego posterunku straży granicznej w okolicy, która mnie interesowała. Jego uwaga, że i pogranicznicy mogą się bać, również była cenna.

[...]

Od wczesnego ranka nie mogłem oderwać się od okna. Koleją Murmańską podróżowałem wiele

razy, stacje i krajobrazy były mi znane, ale teraz patrzyłem na te miejsca innym okiem. To gdzieś tutaj miałem rozpocząć swą ucieczkę. Staralem się zapamiętać wszystkie szczegóły tych miejsc, aby później w dowolnej chwili przemknąć niezauważony, zwłaszcza w pobliżu stacji Kowda, Kniażnaja, Zemczuzyna, Biełoje, Prowły: jedna z nich powinna się stać punktem wyjściowym mojej ucieczki. Gdzieś tutaj ruszę z torbą na ramieniu, wynędzniały, zbiegły katorżnik, ale nie więzień, nie niewolnik GPU. Porażka będzie oznaczać śmierć, sukces – wolność.

[...]

Głównym środkiem zapobiegającym ucieczkom z tego typu łagpunktów jest system wewnętrznego węszenia, za pomocą którego wykrywane są przygotowania do ucieczki. Więzień albo sam się zdradza, zaczynając gromadzić jedzenie na drogę, albo nie utrzyma języka za zębami. Ponadto do takich punktów zawsze wybiera się więźniów, którzy są uwiązani bliskimi. I wreszcie, coraz częściej wprowadza się system odpowiedzialności zbiorowej, kiedy to przy ucieczce z łowiska wszyscy, którzy pracowali ze zbiegiem, odpowiadają jako jego współnicy. Skłaniało to do podejmowania prób z samych łagpunktów, co przyspieszało wykrycie ucieczki i ułatwiało pościg.

Dla mnie cała sytuacja była nowością, czymś nieznanym i dziwacznym. Denerwowało mnie, że nie jestem za drutami, że dookoła jest las, morze, a na brzegu stoją niestrzeżone łodzie. Gdyby nie moja żona i syn, być może uległbym pokusie i uciekłbym stąd już pierwszego dnia.

[...]

Ogólnie rzecz biorąc, podczas pobytu w Zatoce Pałkina, z której nie wolno mi było ruszyć się dalej bez osoby towarzyszącej, udało mi się dokładnie zbadać okolice. Do każdego miejsca w promieniu 15 kilometrów byłbym w stanie dojść nie tylko w dzień, ale i w nocy, zaś o bardziej odległych miejscach zgromadziłem taką wiedzę, jaką mają tylko miejscowi. Aby to wszystko uporządkować, sporządziłem dokładną mapę okolicy i nauczyłem się kreślić ją z pamięci, bowiem nie sposób było zachować taką mapę przy sobie.

Podsumowując, doszedłem do wniosku, że jest to niewątpliwie dobra okolica na ucieczkę. Znacznie bardziej złożonym problemem było jednoczesne przeprowadzenie przez granicę żony i syna. Żona była obecnie na wolności, ale i dla wolnego obywatela wydostanie się ze Związku Sowieckiego nie było łatwiejsze niż ucieczka z więzienia w kraju burżuazyjnym. [...]

Łatwiej jest zorganizować jedną ucieczkę niż dwie: z psychologicznego punktu widzenia łatwiej jest uciekać razem, ryzykować razem i, jeśli będzie trzeba, razem umrzeć. Sam plan mojej ucieczki nie ulegał zmianie, należało tylko umówić się dokładnie co do czasu i miejsca spotkania. Byłoby o wiele łatwiej, gdybym do czasu ucieczki zdołał zaczepić się do pracy w tych okolicach, aby nie uciekać z innego łagpunktu, ale w tym celu trzeba wymyślić przedsięwzięcie, które zainteresowałoby Rybprom na tyle, abym mógł ich nakłonić do wysłania mnie tam, gdzie trzeba.

[...]

Moje życie w obozie koncentracyjnym układało się nadzwyczaj pomyślnie. Miałem niewytłumaczalne szczęście. Wielu wysoko kwalifikowanych fachowców nie trafiało w obozie do pracy w swej specjalności – ja miesiąc po przybyciu do łagru zostałem wyznaczony na stanowisko ichtiologa; po kolejnych dwóch miesiącach wysłali mnie w długą i zupełnie nietypową dla obozu wyprawę „badawczą”, podczas gdy znakomita większość siedziała latami, nie widząc nic poza barakami i pomieszczeniem, w którym przyszło im pracować. Równo sześć miesięcy po przybyciu do obozu zezwolono mi na widzenie z żoną i synem. I wreszcie, nie minęły nawet dwa miesiące od odjazdu żony, gdy znowu ogromnie mi się poszczęściło – „sprzedano” mnie, czy też mówiąc dokładniej, *wypożyczono na trzy miesiące*\*. [...]

Byłem pewien, że rozpatrując moją propozycję, będą doszukiwać się w niej jakiegoś ukrytego celu. Nietrudno się domyślić, jaki cel może przyswieceać więźniowi – oczywiście ucieczka. W swoim projekcie musiałem przewidzieć wysłanie mnie do pracy w Regionie Północnym\*\*. To głusza położona stosunkowo blisko granicy.

\* Przez trzy miesiące Władimir Czernawin dokształcał kolchoźników podczas kursu, który organizował wydział oświaty komitetu wykonawczego Kiemu; odnotowuje, że podczas jego pobytu w łagrze były tylko trzy podobne przypadki sprzedaży fachowców z Solowek.

\*\* Regiony Północny i Południowy – regiony ekonomiczne łączące od kilku do kilkunastu obwodów.





FOT. KOLEKTA TOMASZA KONIEGO

↑ Sołowiecki Obóz Specjalnego Przeznaczenia, 1927

Łatwo mogło się to wydać podejrzanym. Dlatego należało czymś odwrócić ich uwagę od wskazanego w projekcie miejsca i czasu prac. W tym celu postanowiłem przedstawić kilka koncepcji, obliczonych na pracę przez okrągły rok nie tylko w Regionie Północnym, ale i w Południowym, jak również na pełnym morzu. Przy takich kryteriach uwadze GPU powinno umknąć, iż wśród zadań zaznaczyłem takie, które zapewniłyby mi podróż w okolice dogodnie do ucieczki. Mój plan w pełni się powiódł.

Podczas drogi na północ skrupulatnie odnotowywałem każde zjawisko, jeśli tylko dawało szansę na uciepienie się go i wykorzystanie do zaprojektowania nowej produkcji. W rezultacie opracowałem sześć projektów nowych branż i produkcji: połowy małż, połowy minoga, którego nie odławiano na Morzu Białym, połowy łososia na pełnym morzu, połowy ryb dennych na dużych głębokościach, odławianie ciernika w celu przetworzenia go na mączkę i tłuszcz. [...]

Najwięcej uwagi poświęciłem pomysłowi produkowania mączki rybnej z ciernika, ponieważ ze wszystkich sześciu to ten właśnie projekt powinien stać się podstawą do organizacji ucieczki. Poza tym projekt miał konkretne podstawy i sądzę, że gdyby nie sowieckie realia, to mógłby zostać skutecznie wdrożony i przynosić namacalne dochody. [...]

Połowy ciernika zaplanowałem na lato, mając nadzieję, że w tym czasie ucieknę; połowy minoga – na jesień. Dlatego też szykowałem się do nich wyłącznie na pokaz, zaś całą uwagę postanowiłem poświęcić ciernikowi. Tak czy inaczej do września albo ucieknę do Finlandii, albo postawię mnie pod ścianą. [...]

W pierwszych dniach maja wróciłem do Soroki. Byłem w dziarskim, wręcz wesołym nastroju. Do ucieczki pozostawały trzy miesiące. Wyzaczyłem sobie datę 1 sierpnia i dzień po dniu odliczałem czas pozostały do końca mojej niewoli. Wieści z domu były dobre, szefostwo było

zadowolone z tego, jak wypełniłem postawione mi zadanie, podczas podróży odpocząłem, wyćwiczyłem się w chodzeniu i okrzeplem, podjadając świeże śledzie.

Energicznie zabrałem się do organizowania przerobu ciernika. Za kilka dni czekał mnie wyjazd na miejsce pracy. Wszystkie moje myśli krążyły wokół jednego – organizacji ucieczki. Trzeba było jeszcze tyle przemyśleć. Zaaranżowanie spotkania z żoną i synem, przygotowanie im jakiegoś pomieszczenia, w którym mogliby pomieszkać kilka dni w przypadku, gdyby ucieczka była niemożliwa w dniu ich przyjazdu, zdobycie łódki i całego szeregu drobiazków niezbędnych w podróży, których zorganizowanie jest w Sowdepie [Związku Sowieckim] niełatwe, na przykład kseroformu\*, bandaży na opatrunki, grubych wełnianych skarpet... Obawiałem się, że takich rzeczy żona nie dostanie nawet w Petersburgu.

Czasami było mi ciężko ze swoimi myślami, które całkowicie mnie pochłaniały; nigdy nie mogłem się nimi z nikim podzielić. Być może dlatego łąpałem się na tym, iż wyrwywają mi się niebezpieczne słowa. Siedząc w roboczym pomieszczeniu Rybpromu, w hałasie i ścisłości, pochylony nad improwizowanym stołem z deski kreślarskiej, szkicując ołówkiem schematy suszarniczych pieców, myślałem tylko o jednym – o ucieczce, i zupełnie nie licząc się z otoczeniem, głośno powiedziałem:

– Tak, trzeba zmykać, zmykać...

I dopiero, gdy wyrwały mi się te słowa, połałem się, ujrzawszy utkwiony we mnie zdumiony wzrok mego sąsiada.

– Trzeba zmykać do baraku po fajeczkę, widzicie, jaki deszcz leje, a fajka została na pryczy – starałem się zamaskować swój błąd.

Innym razem dałem się ponieść liczeniu dni pozostałych do ucieczki i zacząłem głośno odliczać, ile dni pozostało do 1 sierpnia. Tym razem wykręciłem się, skłamałszy, że rachuję, ile to dni roboczych zaliczą mi do początku sierpnia. [...]

– Wydział informacyjno-śledczy was nie puszcza. Na waszym zaświadczeniu, podpisanym już przez Simankowa, Zaleskantz (naczelnik wydziału śledczego) napisał, że nie zezwala... Obserwują was. Nie wypytujcie więcej w kancelarii.

Wszystkie nadzieje zostały rozwiane i wyglądało na to, że tym razem nieodwołalnie. Całoroczne, tak cierpliwie i wytrwale czynione przygotowania były teraz na nic. Ja, żona i syn pozostaniemy na zawsze tu, gdzie nie ma dla nas miejsca: ja – dalej niewolnik GPU, małżonka, pozbawiona możliwości pracy, naznaczona jako żona sabotażysty, syn – potomek katorżnika, „kaera”, bez nadziei na zdobycie wykształcenia, a w przyszłości – znalezienia pracy...

Czyżbym sam się zdradził? Leżąc na pryczy, przypominałem sobie dokładnie całe moje roczne życie w łagrze, każdy krok, poczyniony w czasie przygotowań do ucieczki. Ani razu nie naruszyłem swojej głównej zasady – nikomu nie zdradzać tajemnicy mojego planu ani wprost, ani pośrednio, żadną wskazówką. Nie było nikogo, kto mógłby mnie zdradzić...

Czy możliwe jest, by – porównując moje działania w tym czasie – dojść do wniosku, że szykowałem ucieczkę? Próbowalem wyobrazić sobie siebie na miejscu wydziału informacyjno-śledczego i przeanalizować swoje życie i zachowanie z ich punktu widzenia. Przez dziesięć miesięcy byłem w nieprzerwanych delegacjach na północy, południu i na morzu. Wielokrotnie towarzyszyły im najbardziej sprzyjające warunki do ucieczki, miałem pod ręką znaczne jak dla więźnia ilości zapasów, chodziłem w „wolnym” ubraniu (zezwolono mi na to od czasu „sprzedaży”), a jednak nie uciekłem. Wydział powinien dojść do logicznego wniosku, że nie chcę uciekać.

Regularnie otrzymywałem paczki i listy od żony i syna, a także pisałem do nich raz w miesiącu (jak pozwala się na to więźniom). Żona i syn mieli do mnie przyjechać na widzenie. Na tej podstawie wydział informacyjno-śledczy powinien wywnioskować, że nie mogę uciec, bowiem jestem związany rodziną. Czy wydział mógł odkryć nasz szyfr w korespondencji? Oczywiście, że nie. Szyfr był tak prosty i naiwny, że odkrycie go było niemożliwe. I wreszcie, gdyby odkryli, od razu posadziliby mnie do izolatki.

Czy wydział mógł się domyślić lub podejrzewać, że szykuję ucieczkę wraz z żoną i synem? Nie, z pewnością nie. GPU pracuje według szablonów, a takich ucieczek z łagru nie było. W końcu

\* Środek leczniczy o właściwościach odkażających, wysuszających i ściągających.

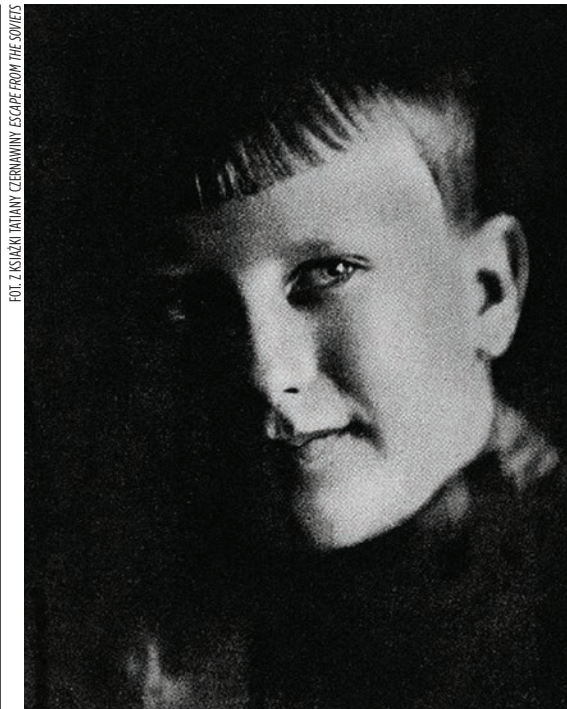


małżonka z synem przebywali w Petersburgu, a ja miałem jechać w przeciwnym kierunku, na północ, a nie na południe. Czyż wydział informacyjno-śledczy mógł przypuszczać, że będę miał chęć ściągnąć żonę i syna do łagru, do najbardziej strzeżonego miejsca, aby uciec? Czyżby mogli się domyślić, że zechcę zaryzykować podróż na piechotę przez uważane za nie do przebycia lasy i bagna Karelii, z kobietą i dwunastoletnim chłopakiem, podczas gdy nie porywają się na to najsiłniejsi i najzdrowsi mężczyźni? Nie, oczywiście, że nie. Nie mają żadnych dowodów, nie mogą też mieć żadnych uzasadnionych podejrzeń.

Najwyraźniej cała sprawa polega na tym, iż w międzyczasie zmienił się szef wydziału informacyjno-śledczego. Wyznaczono nowego, tego Zaleskantza, który zrobił adnotację „nie zezwała się” na moim zaświadczeniu. To człowiek o bujnej fantazji, uważający się za wielkiego detektywa, mający szczególną smykałkę do demaskowania ucieczek i innych przestępczych intryg. Łapanie zbiegów, skrupulatne ich przesłuchiwanie i rozstrzelanie było dlań rozrywką, pasją. Razem z szeregowymi strażnikami kręcił się po stacjach kolejowych w poszukiwaniu uciekinierów... Najwidoczniej moja fizjonomia nie przypadła mu do gustu i postanowił pokazać swoją władzę. A jeśli tak, to czy sprawa jest przegrana? Przecież nic się nie wydarzyło, nic konkretnego. Bez żadnego powodu do sprawy wniósł się ograniczony, tępy człowiek. Czy aby nie należy jakoś zaradzić tej ingerencji?

Nie byłem już tym bojaźliwym aresztantem, który rok temu przybył do obozu, kiedy to ze zdumieniem patrzyłem na błatnych i na ustawionych speców, którzy kręcili sprawami w obozie. Doskonale orientowałem się w sytuacji i stosunkach panujących w łagrze. Gdyby działo się to w Kiemie, z łatwością znalazłbym kogoś, kogo dałoby się napuścić na Zaleskantza, i potrafiłbym wykorzystać „społeczność obozową” dla swoich celów. Ale tutaj, w Sorocze? [...]

Postanowiłem nie tracić czasu i złożyłem wniosek o pozwolenie na widzenie z żoną i synem. Zapytanie poszło do Kiemu. Szybko otrzymałem odpowiedź. Sam naczelnik obozowej administracji zezwolił mi na dziesięciodniowe odwiedziny i to w miejscu pracy. Niebywała łaska, na którą nie śmiałybym liczyć. Ogromnie upraszczało to organizację ucieczki. Żona i syn mogli legalnie przyjechać do mnie na północ, mogli spokojnie



↑ Andriej Czernawin, syn Tatiany i Władimira

pomieszkać przez dziesięć dni, wyczekując stosownej chwili do ucieczki. Najtrudniejszy i najbardziej ryzykowny etap – spotkanie w umówionym miejscu i we właściwym czasie – został rozpracowany łatwo i bezproblemowo. Do dnia wyznaczonego na ucieczkę pozostało jeszcze czterdzieści dni. Założyłem, że teraz nie ma się dokąd spieszyć, zatem spokojnie czekałem, aż naczalstwo podejmie decyzję, co zrobić z ciernikiem, i wysłać mnie do pracy.

### Tatiana Czernawina

Widzenie – to słowo ma w ZSRS takie znaczenie, jakiego nigdzie nie miało. Ma taką moc, taką głębię, że wymyka się definicji. Dwa razy do roku można ubiegać się o odwiedziny u więźnia, u katorżnika. Mogą się zgodzić lub nie. Prosić można wyłącznie na miejscu, w USŁON. Jeśli się nie zgodzą – trzeba jechać z powrotem, wiedząc już teraz, iż więzień jest zaliczony do kategorii ze ścisłym reżimem i dlatego nie wiadomo, czy kiedykolwiek się go jeszcze zobaczy. Jeśli zgodzą się na widzenie, można się zobaczyć – ale z kim? W jakim stanie? Będzie cieniem człowieka.

Gdyby mi powiedziano, że ujrzę ojca, zmarłego kilka lat wcześniej, być może byłabym tak samo poruszona i zszokowana. Straszne.

Syn tak się denerwował, że praktycznie nie byliśmy w stanie rozmawiać o zbliżającym się spotkaniu. [...]

Przy drugim spotkaniu było łatwiej: przez ciężar przeszłości i teraźniejszości momentami przebijala się radość. Sam fakt, iż siedzieliśmy we trójkę przy stole, jedliśmy razem, poruszał do łez. Tak niewiarygodnie daleko w czasie odsunęło się to zwykłe szczęście – być obok siebie, nie bojąc się, że śmierć w każdej chwili może zabrać przynajmniej jedno czy dwoje z naszej trójki.

Po kolacji ułożyliśmy syna do snu. Garść przywiezionych rzeczy – filiżanka, czajnik i parę innych drobiazgów – stwarzała iluzję domu. Ale kiedy chłopiec zasnął i w domu [wynajętym na czas odwiedzin] zapanowała cisza, mąż zaczął się niepokoić. Przypomniał sobie o czymś czy może chciał o coś zapytać? Zrobiło mi się nieswojo, ale on milczał i bałam się naruszać spokój jego myśli. Zbyt wiele oboje przecierpeliśmy, aby lekką ręką dało się odsłonić rąbek własnych przeżyć.

– Mam szalony pomysł – powiedział w końcu głuchym, ledwie słyszalnym głosem. – Ucieczka. Pamiętasz, przed aresztowaniem?

– Tak.

– To szaleństwo?

Kręciło mi się w głowie, nie byłam w stanie odpowiedzieć od razu.

– Być może to szaleństwo, a może jedyne wyjście.

– Wszystko obmyśliłem. Posłuchaj. Podaj mi kartkę papieru i ołówek.

W milczeniu, szybko i precyzyjnie rozrysował zachodni brzeg Morza Białego, zalewy, morskie zatoki, jeziora, rzekę, umykającą dopływami na zachód, nitkę kolei żelaznej, kilka stacji.

– Latem przyjeżdżacie na widzenie do Kandalakszy. Zorganizuję to tak, żeby mnie tam posłali. Jeśli w liście napiszę coś o południu, to będzie oznaczać, iż nic z tego nie wychodzi; jeśli o północy, to znaczy, że wszystko jest dobrze. Nie wykluczone, że pošlę mnie nie do Kandalakszy, o tutaj – wskazał punkt na mapie. – Tam będzie się wam trudno zatrzymać i trzeba będzie wysiadać wcześniej, na stacji, skąd trzeba przejść piechotą 8–10 kilometrów. Oboje musicie być przygotowani i mieć w plecakach wszystko, co niezbędne.

– Jak znajdziemy drogę?

– Droga jest czytelna i prosta, biegnie zaraz za stacją. Pociąg przyjeżdża nocą, ale to za kręgiem polarnym, więc noce będą jasne.

Niczym we śnie ujrzałam las, drogę, białe noce – wszystko straszne i nieuniknione. Z natury nie byłam przepełniona heroizmem ani romantyzmem i jeśli nie mówiłam: „Nie, nie pójdę za nic na świecie”, to tylko dlatego, iż doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie będzie innego wyjścia.

– Gdzie się spotkamy? – zapytałam, próbując się opanować.

– W tym miejscu. Niedaleko wioski jest skrzyżowanie, bardzo charakterystyczne. Dookoła las. Jeśli przyjdziecie pierwsi, połóżcie się w zaroślach lub za kamieniami. Postaram się być wcześniej. Przed świtem musimy obejść wioskę.

– A jeśli...

– Jeśli nie przyjdę – przerwał mi – to znaczy, że mnie zabili. Wtedy wróćcie na inną stację, tutaj, i odjedźcie, ale nie do domu, tylko dokądkolwiek, aby ukryć fakt, żeście tam byli.

– Jak ustalimy dzień?

– W liście napiszę cyfrę. Będzie oznaczać datę, kiedy musicie być na miejscu. W lipcu będzie bardziej sucho, porosną grzyby i jagody. Ale to w sytuacji awaryjnej – westchnął ciężko i przycisnął dłoń do serca. – Wykorzystam całą swoją pomysłowość i zmuszę ich, żeby zgodzili się na widzenie w Kandalakszy, wtedy wszystko będzie prostsze. Na wszelki wypadek będzie mi potrzebny drugi garnitur, czapka, brzytwa. Moje cechy charakterystyczne, po których wszyscy mnie tu rozpoznają – skórzany płaszcz i czarną brodę – trzeba będzie zmienić. Powiemy mu? – zapytał, patrząc na synka, który spał, zwinąwszy się jak kociak.

– Nie. Na razie to ponad jego siły. Powiemy potem, w drodze. Jeśli nas złapią przed ucieczką, on nie powinien o niczym wiedzieć.

– Żyję tylko tym, tylko myślą o ucieczce. Myślę, że jeśli włoży się wszystkie siły w jedno pragnienie, to nie może się nie udać. Cała sztuka polega na tym, żeby chcieć. Przecież nawet Casanova uciekł, człowiek lekkomyślny, ale życiowo uparty, uciekali Kropotkin i Bakunin. Iluż to zbiegło i będzie jeszcze uciekać. Nic innego nie pozostało mi w życiu, poza wami i pragnieniem bycia wolnym. Jeśli tylko zgadzasz się na ucieczkę,





↑ Karelska osada rybacka, 1915

to ja już wiem, co muszę robić. Nie mam zamiaru tu gnić i wyprowadzę was na wolność.

[...]

Dziwne uczucie: szykuję się do szalonej ucieczki, a wystarczy tylko, aby ktoś mnie o to podejrzewał, i zarówno ja, jak i mąż mamy zagwarantowany pluton egzekucyjny, ale jednocześnie cierpię, gdyż nie mogę obdarzyć ostatnim spojrzeniem tego, co pozostawiam. Na wszystko brakuje czasu, serce tonie w smutku: przecież rozstaję się ze wszystkim i ze wszystkimi! I zanim się obejrzałam, oto wraz z synem jesteśmy w pociągu, jadąc tą niby znaną nam już drogą. Więźniowie po staremu kopią ziemię przy nasypie kolejowym, żony jadą

na widzenia, z zażenowaniem stroniąc od innych pasażerów. Lecz teraz nie czuję się już związana z nimi tym samym losem. Nie wybieram się w odwiedziny, lecz dużo dalej.

### — Władimir Czernawin

Teraz było dla mnie jasne, od czego zacząć drogę. Dawało mi to znaczną przewagę: 20 kilometrów można było szybko pokonać łodzią, podczas gdy żona i syn w międzyczasie zachowują siły. Wychodząc na ścieżkę, zanim jeszcze ochrona zdąży dowiedzieć się o ucieczce, można przejść kolejne 30 kilometrów szlakiem, czyli nie tracąc sił, jak to się dzieje podczas marszu przez las na

przełaj. Oderwawszy się od prześladowców na 50 kilometrów, dalej można iść lasem bez ryzyka, że nas dogonią.

Musiałem jeszcze znaleźć miejsce dla mojej żony i syna, gdzie mógłbym ich skierować, gdy przyjadą na widzenie, ale nawet ten problem udało się rozwiązać. W maleńkiej osadzie w pobliżu Przesmyku miejscowy rybak zgodził się użyczyć mi pokoju na jakiś czas. Żona i syn mieli przyjechać za kilka dni.

Przygotowania do ucieczki uznałem za zakończone. Pozostało działać. Wybrać moment i uciekać, być wolnym lub umrzeć.

### — Tatiana Czernawina

Wyszliśmy. Dokładnie zamknęliśmy drzwi naszego ostatniego schronienia, przymknęliśmy drzwi chaty, jak nakazała gospodyni, której nie było w domu od wczesnego ranka. Osada była pusta i tylko całkiem małe dzieci bawiły się na drodze, biegając niczym kury, a na przyzbie siedział zgrzybiały staruszek. [...]

– Gdzie będziemy nocować? – zapytał syn równie cicho, naśladując ojca.

– Kochanie, dzisiaj nie będziemy nocować – powiedziałam. – Idziemy do Finlandii, uciekamy ze Związku Sowieckiego.

Syn spojrzał na mnie i z przejęcia wsparł się na ojcowym ramieniu.

– Mój biedny tatko!

Chłopiec nie wiedział, co powiedzieć: noc, dziki las, do domu wrócić nie można, trzeba uciekać do obcego kraju. Zrozumiał tylko, że to dla dobra ojca, że to nowe cierpienie i nowa nadzieja.

– Kochany mój, będziesz musiał to przecierpieć – tłumaczył ojciec. – Droga przed nami trudna, ale jeśli uciekniemy, będziemy wolnymi ludźmi, bez GPU.

– To idźmy – odpowiedział.

[...]

W połowie trzeciego dnia wreszcie zostawiliśmy za sobą wszelkie oznaki poręb i ludzkiej bytności. Las wyglądał na zupełnie nietknięty, nieuczęszczany. Kiedy stawaliśmy, aby odpocząć, zlatywały się do nas syberyjskie sójki, siadały na okolicznych drzewach i kręcąc łebkami, uważnie nam się przyglądały. Nawoływały się, gaworzyły, podsiadały bliżej. Tak naprawdę nie mieliśmy czym się odwdzięczyć za ich uwagę, a mąż narzekał, tłumacząc nam, jak ciekawskimi ptakami są

sójki, z czego korzystają myśliwi, potrafiący je obserwować, by wysledzić rannego zwierza. Ptaszki jednak były tak przyjazne i miłe, że ja i syn nie mogliśmy się nimi nacieszyć. Mieliśmy świadomość, że to trzeci dzień naszej ucieczki, że teraz szukają nas ze szczególnym zapalem i że czekając na pewno poderwali na nogi wszystkich drwali, których wczoraj wyminęliśmy, jednak nie można było nie czuć tej wyjątkowej lekkości i swobody, którą odczuwa się w dzikich, nietkniętych miejscach. Na twarzy męża malowała się radość, której dawno nie widziałam. Odmłodził: wyglądał pewnie i zuchwale, jak na polowaniu, choć dzisiaj polowano akurat na niego.

Pospiesziliśmy dalej. Jednak kończący się dzień znowu napędził nam strachu: gdy odpoczywaliśmy w głębokim parowie nad strumieniem, wyraźnie dał się słyszeć stuk, jakby ktoś opróżniał fajkę o pień drzewa i potem odszedł cicho, nie łamiąc gałązek pod nogami. Przypadliśmy do ziemi za świerkiem. Mąż, wsłuchawszy się, wstał i poszedł w kierunku dźwięku. Wrócił uspokojony.

– Jeleń zrzuca stare poroże. Trawa w wąwozie jest wygnieciona, to jego ślady.

– A jeśli to nie jeleń?

– Nie uciekłyby stąd – uśmiechnął się z wyrazem pewności. – Wywiedzialem się co nieco na ten temat. Strażnicy wiedzą, że jeśli oni mają karabiny, to ja mogę mieć drewnianą pałę.

– Tato, to znaczy, że oni boją się wchodzić do lasu? – radośnie zapytał syn.

– Mają stracha. Jeden z nich bardzo dokładnie roztrząsał w mojej obecności, jakie to paskudne zajęcie. Stwierdził: „Prawdę mówiąc, nie mamy takiej taktyki, żeby uganiać się po lesie za uciekinierami. Oczywiście staramy się ich zająć albo zajechać przed nimi w tak wąskie przejścia pomiędzy moczarami, że nie mogą ich ominąć. Poczekaj tam dwa, trzy dni, zje się konserwy i makaron, a potem do domu”.

– Jasne, tatko – cieszył się chłopiec. – Może i teraz jedzą makaron?

– Może i jedzą, ale nam pora w drogę.

[...] Człowiek ma niespożyte siły. Był tak odurzony uczuciem wolności, iż gotów był iść bez snu, bez odpoczynku, bez jedzenia, byle tylko zostawić za sobą ziemię, po której stapał jako niewolnik i katorżnik. Sam byłby już daleko, ale uciekanie z nami nie było już tak proste, choć oswoiwszy się, teraz szliśmy sprawniej. [...]



A jednak było wesoło. Szeptem gawędziliśmy o Alpach, Andach, Kordyliarach, Himalajach. Świat się przed nami otwierał. Czuło się jego bliskość – wolnego, radosnego i ludzkiego.

Potem wyszliśmy na grań. Stamtąd po raz ostatni popatrzyliśmy na górskie pasma, umykające w stronę pozostawionego przez nas kraju: tam ścieliły się ciężkie chmury, a nad nami świeciło słońce. Przebytą drogę sprawdziliśmy po szczytach, dumni i szczęśliwi, że tak wiele z nich zostało za nami, ale chłopcu przeszły ciarki; dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo i nieodwołalnie oddaliliśmy się od rodzinnych miejsc.

– Popatrz na Związek Sowiecki, być może po raz ostatni – powiedziałam mu.

Patrzył i jakby nie wierzył, że tam na wieki pozostała ojczyzna. A może jednak zrozumiał i ogarnął go smutek. Tam zostawał dom, koledzy, wszystko, z czym wyrósł, co kochał. Gdyby nie niepojęte i straszne więzienie, w którym zniknęli ojciec i matka, miałby tam szczęśliwe i radosne dzieciństwo, marzenia, nadzieje – wszystko, co wypełnia życie dziecka.

Także mi ścisnęło się serce, gdy z goryczą zęgnęłam się z moim nieszczęsnym rodzinnym krajem. Kochałam go szczerze i wiernie, nawet tak umęczony, zastraszony i zagubiony. Ale... istnieją zwierzęta, które przyzwyczajają się do klatek i niewoli, za to inne – wściekają się lub zdychają. Nie mieliśmy innego wyjścia, musieliśmy uciekać. [...]

Nas w każdej chwili mogły pojmać takie same istoty ludzkie jak my, ale z zielonymi naszywkami na ramionach i czterema literami – OGPU. Dwudziesty wiek, socjalizm – i tyle nienawiści! Swoją drogą, czemu my jesteśmy winni? Temu, że zbiegliśmy z katorgi, na którą skazano mojego niewinnego męża?

Za czasów caratu katorżników nie rozstrzelano za próbę ucieczki – a ilu ich uciekało! Za to teraz, kiedy katorga jest sto razy cięższa niż dawniej, miano nas za to zabić! Ale najpierw dla własnej przyjemności będą nas torturować i niewykluczone, że zmuszą dziecko, aby na to patrzyło! Nie, jeśli nas dopadną, będę walczyć do końca i zginę od razu.

[...]

– Ech, gdyby człowiek wiedział, gdzie jest granica, toby się biegiem puścił – zakrzyknął mąż. – Najgorsze jest to, że być może przekroczymy granicę i dalej będziemy mieć wątpliwości.

Początkowo było sucho i szło się lekko, ale niebawem natknęliśmy się na przepastne grzęzawisko: na wiele wiorst brzegi rzeczki pokrywały bagna. Jasnozielone, porośnięte turzycą grząskie łąki przeplatały się z omszałymi, pełnymi kęp wyssepkami. Przemokły nam nogi, lgnęły do nas komary. Ściemniało się, a wokoło wciąż rozciągały się moczary i nie było gdzie się podziać. Gdy już nocą, wymęczeni do granic, łapaliśmy oddech, stojąc we troje na grząskiej kępie, mąż nieoczekiwanie stwierdził:

– To i tak o niebo lepiej, niż stać na zimnym korytarzu pod drzwiami do gabinetu śledczego.

Zapomnieliśmy o zimnie, o bagnie, o nocy, szczęśliwi, że ojciec jest z nami, że nikt nigdy nie każe mu cierpieć i marznąć w obrzydliwej ciemnicy.

– Pójdę jednak poszukać suchego miejsca – powiedział. – A wy na razie zostańcie tutaj.

Zniknął w kłębiącej się mgłę, a my staliśmy, podtrzymując się wzajemnie, aby było cieplej i aby nie spaść z kępy. Wrócił.

– Bardzo proszę, znalazłem hotel!

Żart nas ożywił i ruszyliśmy, chlupocząc wesoło po dziurach i jamach; i tak byliśmy mokrzy do kolan. Nagle, jakby zmieniono dekoracje i wyszliśmy na twarde grunty: trzy stojące blisko siebie świerki osuszyły niewielką wysepkę. Co za rozkosz. Niech tam sobie będzie noc, zimno, wilgoć i kompletna niepewność. Tak czy inaczej, jeśli zginiemy, to umrzemy wolni. A kto się boi tego, co niepewne? Ten, kto nie zaznał pewności, zwanej więzieniem i katorgą.

[...]

– Oświadczam, że jesteśmy w Finlandii! – powiedziałam niezbyt głośno, ale i nie szeptem.

Nie powiem, żeby mi uwierzyli. Może i ja sama nie byłam do końca o tym przekonana, choć podawałam na głos wszystkie rozumne dowody, że to nie ZSRS – ale wyczuwałam, że potrzebujemy odprężenia. Mąż chyba jeszcze mniej niż ja wierzył, że przeszliśmy granicę, ale poszedł na ustępstwo [...]

Pierwszy raz rozpaliliśmy ognisko, ukrywając je u podnóża zbocza w głębokim wąwozie. [...] Dla nas obojga było to pierwsze spotkanie na wolności po dwóch latach więzienia i zesłania, po tylu latach sowieckiego życia, którego wolnością nazwać się nie da. Na sercu zrobiło się ciepło i tkliwie. Pamięć przywoływała lata młodości, myśli i uczucia, które

odeszły daleko w przeszłość, jakbyśmy znowu stawali się młodzi niczym dwadzieścia lat temu. Nieśmiało, wstydliwie, zaczynaliśmy myśleć o przyszłości.

[...]

Teraz znaleźliśmy się pod dobrą opieką: najpierw przetransportowano nas 300 kilometrów samochodem, potem około 1000 kilometrów koleją, nakarmiono, delikatnie wypytano o naszą przeszłość i dość szybko przywieziono do Helsinek. [...] W osadzie za kręgiem polarnym ujrzelśmy stogi jęczmienia, zdrowe krowy, przyzwoite i ciepłe domy. [...] Później przesiedliśmy się do pociągu, do czystośćkiego, solidnego wagonu, do którego wsiedali spokojni i poważni ludzie w strojach w dobrym gatunku z porządnymi walizkami.

W owym kapitalistycznym kraju wagonów nie dzielono na klasy, gdyż wygoda była dostępna dla wszystkich, zaś w sąsiedniej krainie socjalizmu wagony przeznaczano wyłącznie dla sowieckiej elity, a prosty narodek podróżował niczym bydło. [...] Gdyby tak jeszcze dało się wypalić z pamięci wszystko, czego doświadczyłam przez piętnaście lat w Związku Sowieckim!

Nie. Nie mam do tego prawa. Los podarował nam życie, abyśmy mogli opowiedzieć, jak nieszczęśliwi mogą być ludzie, w jaką nędzę popadł najbogatszy niegdyś kraj i jak mało cenią swe szczęście ci, którym nie dane było doświadczyć tego morza goryczy i niewoli.

### Władimir Czernawin

Mój los to zwykła historia rosyjskiego naukowca, specjalisty – zwyczajny los ogólnie kulturalnych ludzi w Związku Sowieckim. Jak ciężkie nie wydawałyby się moje koleje życia, były jednak łżejsze od doli większości: przyszło mi wycierpieć mniej na przesłuchaniu i „śledztwach”, mój wyrok 5 lat ciężkich robót był znacznie łagodniejszy od zwyczajowego rozstrzelania lub 10 lat katorgi. Wielu z tych, którzy byli torturowani i katowani, było starszych ode mnie i w sensie naukowym znaczyli o wiele więcej niż ja. Nasza wina była jednakowa: wyższość kulturowa, której bolszewicy nie mogli nam wybaczyć. O sobie mówię tylko dlatego, iż inni mówić nie mogą: muszą w milczeniu ginąć od kuli czekisty, iść na wygnanie bez nadziei na powrót i też umierać bez słowa.

Uciekłem z katorgi, ryzykując życiem żony i syna. Bez broni, bez ciepłego odzienia,

w okropnych butach, prawie bez jedzenia. Przeprawiliśmy się przez zatokę morską w dziurawej łodzi, łataną moimi rękami. Przeszliśmy setki wiorst. Bez kompasu i mapy, daleko za kołem podbiegunowym, dzikimi górami, lasami i straszными bagnami.

Los dopomógł mi w ucieczce i nakłada na mnie obowiązek przemawiania w imieniu tych, którzy umarli w milczeniu. Katorżnicy, ich żony i dzieci, wdowy i sieroty po zamordowanych „szkodnikach” wierzą, że ich straszny los jest możliwy tylko dlatego, że świat nie wie, co się tam wyprawia. Nikt nie daje wiary, iż kulturalna chrześcijańska ludzkość może świadomie dopuszczać do tak potwornego, niezrównanego okrucieństwa i nawet nie próbować go powstrzymać.

Niechaj będzie naiwną wiara Rosjanina w sprawiedliwość świata, ale moim obowiązkiem jest spełnić powszechne, często przedśmiertne, życzenie tych nieszczęśliwych, aby ludzie poznali prawdę o ich strasznych losie.

### Tatiana Czernawina

Sowieckie więzienia i katorga nauczyły nas walki o naszą wolność. Nie da się być nieszczęśliwym teraz, gdy znów jesteśmy razem, ale nie zapomnieliśmy trudnych sowieckich lat. W imieniu przyjaciół, porzuconych na katordze, w imieniu ofiar, pomordowanych w lochach GPU, muszę opowiedzieć smutną prawdę o sowieckim życiu kobiet. Nikt z zewnątrz nie ulży ich doli, ale pociecha w tym, iż ludzie będą wiedzieć o faktycznym losie tych, którzy żyją w „szczęśliwej i wolnej jednej szóstej ziemskiego globu”.

WYBRAŁA I PODAŁA DO DRUKU

Estera Flieger

Z ROSYJSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

Piotr Tymiański

ŹRÓDŁO: Fragmenty pochodzą z dwóch książek: Władimir Czernawin, *Записки «вредителя»* [*Zapiski szkodnika*], Paryż 1934. Tatiana Czernawina *Побег из ГУЛАГа* [*Ucieczka z GPU*], Paryż 1934.